



Biuletyn Otrycki

24

**Walne Zebranie
Klubu Otryckiego
21.04.1989**

Kochani moi wierni /mam nadzieję/ Czytelnicy!

Otwieram przed Wami następny numer Biuletynu Otryckiego. Nie jestem w stanie napisać, co w nim będzie - mam tak mało matryc, że dopiero się okaże co zmieściło się a co nie. Przepraszam, ale ten numer będzie nieco "ściśnięty" - aby jak najwięcej tekstów weszło.

Jestem winna skóów kilka wyjaśnienia dlaczego Biuletyn tak długo nie ukazywał się. Winna jestem oczywiście ja, lecz mam tak trudną sytuację rodzinną, że wierzę mi - nie miałam kiedy i jak zająć się naszym wydawnictwem. Zmobilizowałam się przed tym, wiosennym Walnym Zebraniem, siłą rzeczy Biuletyn nie będzie wyglądał dokładnie tak jak chciałabym.

Dziękuję wszystkim, którzy dopytywali się o B.O. - świadczy to o niejakej popularności tegoż. Żeby nie zajmować cennego miejsca kończę już swój wstępniak, pozdrawiam członków, sympatyków i przyległości Klubu Otryckiego

Bogna

COŚ JAKBY SPRAWOZDANIE Z POPRZEDNIEGO WALNEGO

Od jesiennego Walnego Zebrania minęło już prawie pół roku. Dlatego po konsultacji z red. nacz. Biuletynu Otryckiego postanowiłam, że tym razem ukaze się tylko skrócona wersja protokołu.

Zebranie odbyło się 21.10.1988 r. na Wydz. Socjologii. Obrady prowadził Jarek Frąckowiak. Obecna była większość członków oraz liczne grono sympatyków. Pierwsza część zebrania miała charakter sprawozdawczy dotyczący całorocznej działalności Klubu Otryckiego, jego stanu finansowego oraz akcji letniej. To już historia. Ci, którzy jej nie znają a mają ochotę się z nią zapoznać mogą sięgnąć do poprzednich numerów B.O. Drugą część spotkania była poświęcona sprawom personalnym. Jej ustalenia obowiązują do dziś. Dlatego je przytoczę.

1. Przyjeliśmy w poczet członków K.O. 3 nowe osoby: naszą długoletnią koleżankę - Joannę Malinowską /wprowadzał Marek Parzydło/, której nie trzeba chyba przedstawiać, dwóch studentów socjologii UE - Piotra Obraniaka /wprowadzała Iza Gutowska/ i Waldka Dymarczyka /wprowadzał Jarecki/ - rodzianie aktywnie uczestniczyli w akcji letniej.
2. Na stanowisku Prezesa brak zmian. Nadal miłościwie panuje nam Marek Parzydło. Swoją kandydaturę zgłosił sam, co obecni przyjęli z aplauzem. Innych kandydatur nie było.
3. Tymczasem w Radzie Otryckiej prawie same zmiany. Nowa Rada uformowała się w składzie: Iza, Ania, Michał, Bogna oraz wchodzący z klucza prezes i gospodarz. To chyba pierwszy przypadek dominacji kobiet w Radzie.
4. Rada Otrycka i członkowie Klubu Otryckiego postanowili nie umieszczać na nowej liście członków: Henryka Banaszaka, Witka Bychawskiego, Ewy Lewickiej-Banaszak, Aleksandra T. Łazarskiego. Wyżej wymienieni będą odtąd figurować na liście członków Kręgu Budowniczych.

Tym akcentem zebranie zostało zakończone, gdyż zbliżała się godz. 20.00 - pora zamknięcia IS. Większość obecnych udała się do mieszkania koł. Maliny gdzie odbyła się część artystyczna. Szczegóły imprezy nie należą do protokołu.

Wasza protokółantka - Izunia G.

EPIGRAMAT

Czy mogła Bicie tworzyć tań jak Dant subowy,
Iub Laura sławić miłość w przypływie natężnienia?
To ja kobiety nauczyłam mowy,
Lecz, Boże, jak je zmusić do miłczenia!

Anna Achmatowa

WIARA. NADZIEJA. MIŁOŚĆ

.. Ariadnie -

Czemu Hiob w swoje wrzody wierzył tak zawzięcie,
Że gdy ozdrowiał wreszcie w młodym, jurnym lesie,
Zwykł szeptać w włosie brody: Za późno na szczęście...
I szedł płakać na groby swóich zmarłych dzieci?

Czemu Rembrandt swą Saskię kochał tak okrutnie,
Ze dźgał się jej widokiem prawie sztywno-białej,
By potem w mroku komnat wrzeszczeć żółtym światłem,
Ze tęskni wciąż do tamtej złocistej Danae?

Czemu Skucki męczył się nadzieją żydostwa,
Biorąc ją zawsze w drogę niczym z opium fiołki,
I czemu nie chciał wiedzieć, że mieszka na moście,
Gdy konał przy zamkniętym szlabanie do Polski?

Tylko Norwid, dający słowa jak jałmużnę,
Patrząc na tabun czasu i na zdarzeń grzywy,
Puszczał oko do "wnuków" i szeptał usłuznie,
Ze nie poź to są cnoty żeby być szczęśliwym.

Andrzej Biecz

ORIGINAL OTRYT CRIME STORY!!!
NEVER PUBLISHED BEFORE!!!

UWAGA!!! WIELKI KONKURS Z NAGRODAMI NA NAJLEPSZY TYTUŁ!!!
I TY MOZESZ ZWYCIĘZYĆ!!!
SZCZEGÓŁY JUZ W NASTĘPNYM NUMERZE!!!

ARIANE O'HENC

"Zbrodnia w wysokich górach"

tyt. oryginału: "A Crime in the High Mountains"
tłum. z angielskiego: Kici Koci.

... i spraw jeszcze Boże, żebym w nowym roku nie przeżył już drugiego takiego dnia, jak dzisiejszy. - Al skończył swą wieczorną modlitwę i z ciężkim westchnieniem położył się do łóżka. Czuł się zupełnie wyczerpany. - Chyba się zestarzałem - pomyślał. - Boże, ileż to dawniej spraw mogłem równocześnie prowadzić. Bywało, że przyjeżdżaliśmy dzień- nie po kilkadziesiąt kilometrów, z jednego obwodu do drugiego. Spałem w drodze, jadłem w drodze, a po przyjeździe i pobieżnych oględzinach terenu upijaliśmy się z towarzyszymi do nieprzytomności. A rano znów w drogę. Mój Stiopa na oczy ledwo widział, ale jechał. - Ale wy to też, Aleksandr Bolesławowicz, macie zdrowie - z podziwem kręcił zaspianą głową i z fantazją dociskał gaz. Kiedyś najechał na wlokącą się poboczem furę z sianem, woźnica, poczciwina jakiś w waciaku i zawlężanej pod brodą czapce-uszatce, zszedł z góry i dalejże pyskować, straszyć komendantem milicji, przewodniczącym kołchozu i Bóg wie kim jeszcze. Ale Stiopa nie w ciemną bitę, trzy słowa mu tylko na boku powiedział i chłopina z miejsca spokorniał, zmizerniał, brudną czapkę ze łba ściągnął /choć było wcale zimno/ jakąc się zaczął i przeproszać. Ech, to było życie... No tak, ale i potem, w Kalifornii, też nie można było narzekać na brak rozrywek. Do Ameryki wysłano go poniekąd służbowo /choć nie czyniono wokół całej sprawy zbędnego hałasu/. Ot, tak, żeby się zorientował, jak tam teraz za oceanem sprawy stoją. Z początku pojechał do Chicago. Cholernie mu się to miasto spodobało. Zaczął nosić dwurzędową marynarkę i szary kapelusz. Wogóle świetny kraj - powoli utwierdzał się w tym przekonaniu. - Moskovska była i Stoliczna. A jakże, oryginalne. Przez pierwszy miesiąc kupował codziennie po dwie butelki i mimo to jeszcze mu starczyło z pensji na mały, kolorowy telewizorek. Po dwóch miesiącach kupił sobie motocykl, a po czterech zupełnie przyzwyczajonego Buicka. Nie ma co ukrywać, spodobało mu się takie życie. Napisał do swojego szefa, że zwalnia się z roboty. /Potem, po latach dowiedział się, że był to ostatni list, jaki ów biedak przeczytał w swym życiu -

szlag trafił go podobno na miejscu. Al zatrudnił się w swojej branży, w San Francisco i dostał razem z drugim gościem Bobem kilkanaście brudnych ulic w jednej takiej dzielnicy. Ech, Chinatown... Boba znalazł z nożem w pierś, któregoś ranka trzy tygodnie później. Jemu samemu wypolerowane ostrze mignęło przed oczyma następnego dnia, ale okazał się szybszy. Tak, pamięta, że dostał wteń od starego tydzień wolnego i skrzynkę Moskovskiej w prezencie od chłopców i tak lata szybko mijały, aż któregoś dnia dostał skrzynkę Moskovskiej jako póżegnalny prezent od całego posterunku... - Al odłożył książkę, którą bezskutecznie usiłował od kilku minut czytać. Nie, to co dzisiaj się tu wydarzyło stanowczo nie było na jego nerwy. Dwóch nieboszczyków, lawina, tajemnicze znikanie pewnych osób, plątka, zwierzenia, sensacje.

Śmierć Jacquesa była bez wątpienia samobójstwem. Na podłodze, obok ~~z~~ kółka, na którym leżał znaczek fotografa, znalazł mały, damski pistolet - taki, jakim kobiety zwykły straszyć napastników. Rozstrzelona Bella, paląc jednego papierosa za drugim opowiadała, że tylko na chwilę wyszła do swego, sąsiadującego zresztą pokoju, po środki uspokajające dla Jacquesa. Szukała właśnie w swojej walizce, gdy nagle usłyszała strzał za ścianą. Biedna Bella wyglądała na zupełnie załamana. Znała Jacquesa od lat. Był jednym z jej pierwszych pacjentów, gdy jako młoda absolwentka psychologii zaczęła pracować w Institute J. J. Rousseau przy Uniwersytecie Genewskim. Zrozumiała, że po tylu latach ciężko jej się było z nim rozstawać. Al wypytywał ją o Jacquesa, przyczytny jego depresji a zwłaszcza ostatniego jesiennego załamania. - To był taki wrażliwy chłopak - opowiadała Bella - naprawdę bardzo delikatny. Tylko czasami wplątywał się w jakieś głupie albo podejrzané historie. Potem często nie mógł sobie dać rady z konsekwencjami. Tym razem to była jakaś bardzo nieprzyjemna sprawa. Jacques nie chciał mi nic o tym powiedzieć, dopiero tutaj, kilka dni temu zdradził mi kilka szczegółów, ale też niewiele. Wyczułam, że miało to związek z jakimiś osobami stąd. Nie bardzo zresztą rozumiałam, o co mu chodzi. Miał zły dzień, mówił bardzo szybko, chaotycznie i tylko po francusku. Nie chciał przejść na niemiecki, powiedział, że brzydzi się tym językiem i nie będzie już nigdy się nim posługiwał. Il parlaît des quelques photos tres piquantes /tak powiedział - tres piquant/ pour Andre... - Bella zawiesiła głos. - Ale ja nie sądzę, nie, nie, jestem pewna, że to nie ma nic wspólnego z Andym. On jest taki uroczy, taki czarujący. Może nie lubią... nie lubili się specjalnie z Jacquesem, ale to niemożliwe, żeby Andy miał cokolwiek wspólnego z jakimiś brudnymi sprawami... -

Al zgodził się, że Andy to wyjątkowo uroczy i czarujący facet, a ponieważ nie można było z zapłakaną Bellą wyciągnąć żadnych więcej informacji, podziękował jej grzecznie za rozmowę i wyszedł.

Po lunchu, który mimo wszystko odbył się jak codzień, Al zapukał do pokoju Andy'ego. Przyjęto go z umiarkowanym entuzjazmem. Gospodarz ubrany jedynie w bryczesy i kusy, bawełniany podkoszulek, zamierzał właśnie złożyć wizytę angielskiemu małżeństwu spod "piątki". Pod pachą trzymał do połowy opróżnioną już butelkę dżinu, zdaje się, że ~~ch~~ chlapał sobie już co nieco po posiłku. Prośba o chwilę rozmowy skwitowana została nieokreślonym ruchem ramion, po czym Andy rzucił się razem z butelką na niski tapczan stojący pod oknem. Al, spytawszy o pozwolenie, zajął miejsce na krzeselku obok drzwi i oględnie, nie zahaczając na razie o właściwy powód wizyty, zaczął wypytywać młodego człowieka o jego przeszłość, zainteresowania, znajomości. Andy udzielał informacji obojętnie, co pewien czas zerkając ostentacyjnie na zegarek. W końcu odkręcił butelkę i jednym ruchem wlał sobie do gardła kilka łyków. - Pociągniesz, Al? - zaproponował. - A tak... ty nie ~~pij~~ pijesz - odpowiedział sam sobie po chwili i znowu przechylił butelkę. - Eeee, nie... - zreflektował się - to przecież Derek nie pije, wszystko mi się już myli. No, Al, nie napijesz się ze mną? - Al poprawił węzeł wspaniałego czarnego krawata, odchrząknął i podziękował, wyjaśniając, że zamierza zacząć dziś pić dopiero po ósmej wieczorem. Dalesza rozmowa przebiegała bez specjalnych rewelacji. Andy nie okazywał bynajmniej oznak zaniepokojenia na pytania związane z Jacquesem. Znał

go niewiele - opowiadał - słyszał, że był wężego zdrowia, jakieś zamknięcie nerwowe, czy coś takiego, prawda? Można się więc domyślać, że nie wytrzymał psychicznie napięcia wywołanego ostatnimi wydarzeniami. Andy spotykał go tylko w górach, nie byli bliżej zaprzyjaźnieni... - i tak całkiem swobodny i trochę już pijany gawędził leżąc na swym wygodnym tapczaniku. Dopiero, gdy pod koniec rozmowy padło pytanie dotyczące Mike'a, Andy mierzalnie począł się denerwować. Nie wiadomo po co kilka razy zapewniał, że nie ma nic wspólnego z tą całą sprawą, jego alibi jest niepodważalne, może je poświadczyć kilka osób /zdawał się nie pamiętać, że także z Alem jeździł na nartach tego dnia/. Przedstawił Mike'a jako swego najlepszego przyjaciela, jeszcze z czasów szkolnych, gdy razem uczęszczali do ekskluzywnego Eton College. Później ich drogi rozeszły się. Mike zaczął studiować prawo w Oxford, on - Andy zajął się przyjemniejszymi rzeczami. Zawsze jednak trzymali się blisko. Na pytanie o znajomych, przyjaciół, ewentualnie wrogów Michaela, zapewnił raz jeszcze o swym głębokim uczuciu dla zmarłego. Wrogowie? Mike? Nie, nigdy nie słyszał żeby się komuś naraził. Z bliźszych przyjaciół to chyba Bo i Derek. Wprawdzie oni na stałe mieszkają w Londynie, ale Mike wpadał do nich dość często. Podobnie zresztą jak i on. Kto jeszcze? Nooo... Jest jeszcze taki jeden Chris, mieszka nie daleko, w Bristolu, ale teraz wędruje się gdzieś po świecie, ostatnio widziano go podobno na polderach w Holandii. Kobiety? Haha, kobiety? No, tak, właściwie nie powinien... - Tu Andy zniżył głos i wyjaśnił, że wprawdzie była to najskrytsza tajemnica Mike'a, o której tylko oni dwaj wiedzieli, ale teraz i to właśnie Alowi może chyba powiedzieć, że Mike od wielu lat kochał się bez wzajemności w Alexis, tej rudej Włoszce z Mediolanu. Nikt o tym nie wie, a najmniej z pewnością sama Alexis. Mike był taki nieśmiały...

Rozmowa trwała jeszcze około kwadransa, nie przynosząc więcej istotnych informacji. Andy robił się coraz bardziej śpiący i powtarzał po kilka razy te same rzeczy. W końcu nucając modny przebój: "You're my sweetheart, Joan" usnął z głową przy pustej flasce. Al usunął ją delikatnie, aby biedak nie zrobił sobie krzywdy i przykrył go wzorzystym pledem.

Dochodziła piąta. Korytarz pogrążony był w ciemnościach i Al nie zauważył czarnej koszuli, którą miał na sobie. Schodząc uderzył się boleśnie rzeźbioną końcówką poręczy.

Na dole przez otwarte drzwi kuchni usłyszał jak Dominique i prof. von Sydlack omawiali menu wieczornego posiłku. Dominique proponowała soupe aux tomates, omelette du Mont-Saint-Michel, filet de boeuf à la sauce Madère, pommes-frites, puree de marrons, carottes à la Pompadour, fromage i charlotte de pommes na deser. Profesor wolał raczej Eintopf, argumentując, że to bardzo zdrowa, nawet dość smaczna, a przy tym prosta w przyrządzaniu potrawa. Obie strony przedstawiały rozsądne argumenty i dyskusja z każdą minutą stawała się coraz bardziej żywa. - Je ne mangerai pas cette cochonnerie - piekliła się Dominique. - Ich werde nicht ~~ich~~ in der Küche ganze Nacht sitzen - grzmiał profesor. - Ciekawe, co będziemy jedli dziś na kolację - pomyślał Al i postanowił pozostawić ich samych.

W sali kominkowej było tylko kilka osób. Młodzi Fraçklinowie, Marc Smith i Felipe grali w brydża, obok pochyleni nad szachownicą w pięknej napiętej ciszy trwali Dr Georg i generał McArthur. A pod oknem, chmurny i zbolący, o bladym czole i ściągniętych posępnie brwiach, wpatrując się w pustą kartkę papieru siedział Andreas Illitsch. Poeta i myśliciel, otoczony aurą tajemniczości, a nawet metafizycznego niepokoju, cieszył się wśród wszystkich gości wielkim poważaniem. - Pewnie tworzy poemat - pomyślał z szacunkiem Al i dyskretnie oddalił się, by nie niepokoić swą obecnością poety i jego natchnienia. Przy stoliku brydżowym Felipe i Marc Smith kłócili się, kiedy powinno się zgłaszać starszą czwórkę, a kiedy piątkę. Przytaczali opinie znawców, słynne wylicytowane szlemy i zmarnowane kontrakty, powoływali się na wyrafinowane konwencje i renomowane podręczniki. Tymczasem Jerry... - Jerry, Jerry Fraçklin! Niestety, ale ty cały czas patrzysz w karty Marca! Isabel stała niewzruszenie na straży uczciwości. Jerry spojrzak

w górę z miną niewinłą, ale zaraz roześmiał się szelmowsko i posłał jej ręką buziaka.

Nikt nie zauważył kiedy drzwi otworzyły się i do środka weszła ta sama mała i pokurczona staruszka, która nie wiadomo skąd zjawiła się już wcześniej w hallu. Podeszła do stołu...

- Gdzie jest cukierniczka? - trąciła bezceremonialnie w ramię pograżonego w grze generała McArthura.

- W kredensie - odpowiedział, nie podnosząc nawet głowy z nad szachownicy.

- A Baba Jaga? -

- W domku na kurzej stopce -

- No, dobra - zerknęła mu przez ramię, przestawiła dwa pionki na planszy - szach i mat - powiedziała i nie troszcząc się więcej o cukiernicę, wyszła na zasypywany śniegiem taras. Generał McArthur i Dr Georg patrzyli w osłupieniu na stojące przed nimi figury...

- Chyba mi się przywidziało - doszedł do wniosku Al i spojrzał na zegarek. Do ósmej brakowało jeszcze ponad dwóch godzin. Przez korytarz i tylne drzwi wyszedł na ganek.

Sypał drobny, suchy śnieg. Warstwą delikatnych, lekkich granulek zasypywał ślady na ziemi, oczyszczone przez Maria stopnie, wciskał się w załamania dachu, ramy okienne, szpary w ścianach. Dookoła trwała cisza absolutna i pierwotna, niezłamana powiewem wiatru, żadnym dźwiękiem ani zbędnym ruchem. Al zatrząskł się z zimna, ale mimo wszystko koshedł kilka stopni niżej, tam gdzie widoku nie zasłaniała mu już spadzista ściana dachu. Wychylił się w bok, ale śnieżna mgła czyniła rzeczywistość jednolitą i szarą. I wtedy właśnie zauważył na śniegu świeże zupełnie ślady nart. Prowadziły od schowka pod schodami w prawo, wokół narożnika budynku i dalej w dół w stronę polany, lasu i noccy. Wyglądało to, jakby kilka minut wcześniej ktoś wyruszył na tajemniczą, nocną wycieczkę. Al zajrzał do schowka - wśród nart długich i krótkich, nowych i starych, błyszczących i odrapanych zauważył od razu brak wspaniałych opalizująco-śliwkowych Polsportów Frau Dorothei.

- Frau Dorothea? - ze zdziwieniem pomyślał o ich instruktorce narciarskiej, pod której czujnym okiem stawiał przed laty pierwsze kroki na śniegu. Przeszukał buty w hallu i tu również nie znalazł jej nowych, nieskazitelnie bładoróżowych Dachsteinów. Al wszedł na górę i sprawdził pokój na drugim piętrze, wypytywał pozostałych gości, kierownika schroniska - w końcu było już jasne - Frau Dorothea zniknęła.

- Jaki to ma związek z całą sprawą - zachodził w głowę Al, przywpływając na myśl surowe wejrzenie i niezachwiany kręgosłup moralny ich sportowej przewodniczki.

Przed kolacją zdażył jeszcze porozmawiać z Alexis, która wśród mnóstwa drobnych i prawdę powiedziawszy nużących go ploteczek z życia mieszkańców schroniska obwieściła mu prawdziwą rewelację. Pokój Alexis przylegał do ściany do pokoju Mike'a, a wiadomo, że przepierzenia nie są specjalnie solidne. Jeśli ktoś podniesie głos wszystko słycać.

Poprzedniej nocy Alexis nie spała do późna - czytała. Koło dwunastej poszła na koniec korytarza do Andy'ego, żeby pożyczyć papierosy. W pokoju nikogo nie zastała, wróciła więc do siebie i czytała dalej. Nagle zza ściany dobiegł ją odgłos szamotaniny i podniesiony, wściekły głos Andy'ego: "Jak się od niej nie odczepisz, to ci łeb rozwalę, zapamiętaj to sobie!". Alexis nie wiedziała o kogo chodziło, ale podejrzewała, że dotyczy to kogoś przebywającego obecnie w schronisku. Nie wiadomo kto to może być - Bell Gutman, Dominique, Frau Dorothea, a może Jane M'lina... - snuła domysły.

- A może ty, pomyślał Al i pożegnał się z Alexis prosząc na odchodnym, aby nikomu nie powtarzała treści tej rozmowy.

Dochodziła ósma i czas było napić się pysznej wódeczki.

- Jane M'lina... Alexis... - tańczyły mu wszystkie przed oczyma, gdy pił pierwszy kieliszek wybornie schłodzonej Moskovskiej. - A może Frau Dorothea - myślał dalej... Skończył myśleć przed dziesiątą, przebrał się w piżamę i wtedy właśnie rozległo się pukanie do drzwi.

- Ależ proszę bardzo - zawołał uprzejmie i serdecznie. Do pokoju wśliznęła się Bo, cała w czarnych, powiewnych peniuarach.

- Al, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia - oświadczyła uroczyście:

- Ależ, proszę bardzo - rzekł jeszcze przejmiej x uśmiechając się przy tym z pełnym zakłopotania rozbawieniem.

- Frau Dorothea prosiła, żeby ci to przekazać, ale dopiero po kilku godzinach. Obawiała się, że będziesz się starał ją zatrzymać... Pojechała do Bad-Luttdorf na policję. Możemy tu siedzieć jeszcze kilka dni i nikt z zewnątrz nie będzie wiedział, co się z nami dzieje... A tymczasem Bóg jeden wie, co się tu jeszcze może zdarzyć. - dodała posępnie zawieszając głos. - Ona zna tu wszystkie trasy, powinna w kilka godzin dojechać...

- Aha... - Al wyobraził sobie Frau Dorotheę mknącą w dół na swoich śliwkowych /opalizujących! / deseczkach. - Be?... zaczął - gdybyś usłyszała Andy'ego ostrzegającego Mike'a, żeby odcepił się od jakiejś dziewczyny, to jak sądziłabyś, o kogo może mu chodzić? - Bo popatrzyła na niego z niedowierzaniem - No, co ty? Chyba jasne, że to Jane M'lina. - I z miną osoby niepewnej, czy z niej nie kpią, wyszła z pokoju.

- Aha. - pomyślał Al i zgasił lampę. Niedługo miał się zacząć ostatni dzień starego roku.

Marco Piccolo obudził się nieco później niż zazwyczaj. Przeciągnął się w łóżku parę razy, potarł zaspiane oko i czule, niemal jak kochankę, pogładził leżącą obok czerwoną gitarę.

- Chyba będziemy mieli dziś ładny dzień - pomyślał, z przyjemnością zauważając wpadające do pokoju promienie słońca. Ale po chwili przypomniał sobie gdzie jest, kim jest /choć tego nigdy do końca nie był pewien/ i - co najgorsze - jak jest.

- Boże, wszystko bez sensu. Znowu kolejny dzień. Skończy się pewnie jak sto poprzednich. Możliwe, że runie dziś kolejna lawina, albo zginie kolejna osoba. Ale w moim życiu nic się przez to nie zmieni. Chyba, żebym to ja był... Może tak byłoby zresztą najlepiej... Ale nic z tego, będzie zwyczajnie, najzwyczajniej. I tak samo jutro i pojutrze i popojutrze i przez całe życie. A mi kiedyś marzyło się... Zresztą... czy świat straciłby coś, gdyby było mniej o jednego faceta?...

Z tych niewesołych, a nawet poniekąd ponurych rozmyślań wyrwało go nagle energiczne pukanie do drzwi i na wskroś życzliwy głos Belli: - Marco! Marco, pospiesz się. Śniadanie już gotowe. Coś bardzo ładnie pachnie na dole!-

- Idę, idę... odkrzyknął, z zadowoleniem konstatując, że czuje głód.

- Dobrze, że co pewien czas trzeba uzupełniać zapasy w żołądku, inaczej zupełnie nie byłoby co robić - pomyślał.

Śniadanie, ostatnie śniadanie w starym roku przygotowywała już inna niż poprzedniego dnia para kucharzy. Tym razem byli to Alexis i Felipe. Oboje mocno ubolewali, że przyszło im gotować w ten skądinąd wesoły i uroczysty, ale dla kucharzy bez wątplenia pracowity dzień. Głośno obwiniali o to swój życiowy pech, a zwłaszcza brak szczęścia we wszelkiego rodzaju losowaniach.

I rzeczywiście - jakby na potwierdzenie ich słów, od samego rana zupełnie im się nie wiodło. Najpierw Felipe nie mógł rozpaść pod kuchnią, potem Alexis zacięła się w palec świeżo naostrzonym nożem, a na koniec, jakby dla dopełnienia wszystkich nieszczęść, popchnęła stojący na krawędzi pieca garnek z makaronem. I w ten sposób niemal połowa ich pysznego spaghetti znalazła się na podłodze. A tu już zaczynają się schodzić na śniadanie, dopytują, co też tak ładnie pachnie. Dorobili więc naprędce trochę kanapek, żeby zapchać czymś głodne gęby, ale sami pachnącego smakowicie makaronu ze szpanakiem nawet nie spróbowali.

Przy długim stole w sali kominkowej zbrali się już chyba wszyscy. /Wszyscy pozostali przy życiu, ma się rozumieć/. Siedzą tak obok siebie: niewyspani i już utrudzeni kucharze, milczący, ale bacznie obserwujący wszystko Mario, długi Dr Georg, Al w ciemnym garniturze, generał McArthur razem ze swoją generałową, ukrywający oko za szkieletem prof. von Sydlack, blady Andreas Illitsch, Bell spowita w żakobne szaty, niewybudzeni Isabel i Jerry, nieruchoma twarz Marca Smitha, wyglądający na poważnego i godnego zaufania przedsiębiorcę Derek i jego lubiąca mężczyzn, wino i śpiew żoneczka, Jane M'lina z posępną buzią, nie demoniczna Dominique, Marco Piccolo z nieodłączną gitarą-kochanką

... Zaraz, ale kogoś brakuje... No, tak nie ma tu Andy'ego. To jego nietknięta jeszcze porcja dymu apetycznie na ladzie kuchennej, aż przechodzący obok rzucają na nią pożądliwe spojrzenia. Ooo... jest nareszcie! Andy - z podkrążonymi oczyma i zmęczoną twarzą - ale jest, pokazał się w końcu na dole!

- Jezu, ale mnie łeb napieprza - rzucił na powitanie i ręką sięgnął do skroni. Nikt nie wątpił w prawdziwość jego słów. Chwiejnym krokiem podszedł do kuchennego okienka, podejrzliwie popatrzył na stygnące spaghetti, ale wzięwszy zarówno talerz jak i duży kubek mocnej herbaty, usiadł przy stole obok Felipe. Słońce świeciło mu wesoło w oczy.

- Ty, to ja z tobą pikem wczoraj? - spytał słabym głosem.

- Hehe, nie. Ze mną to ty pikes przedwczoraj - wyjaśnił mu czegoś dziwnie rozbawiony Felipe.

- Taak? - wymamrotał ze zdziwieniem Andy. Pogrzebał łyżką w makaronie i z obrzydzeniem odsunął talerz. - Tfu, świństwo. Na mdłości mi się zbiera od samego zapachu - wypił duszkiem pół kupa herbaty.

- Nie masz apetytu, Andy? - współczujący głos Felipe zabrzmiął cokolwiek obłudnie. - Słuchaj, tylko się nie zmuszaj. Najgorzej to się zmuszać. Wiesz, ja mogę zjeść tę twoją porcję. Prawdę powiedziawszy nie próbowałem nawet tego - i już wyciągnął rękę po talerz.

- A jedz sobie - mruknął Andy. Ale dostaną puszkę piwa z lodówki, O.K.? - Dobra, po śniadaniu - zgodził się Felipe zabierając się do jedzenia.

- Słuchaj, chyba nie sądzisz, że pozwolę ci samemu zjeść całą porcję?

- niestety Alexis już siedziała tuż obok.

- Nie, nie sądzę - z rezygnacją zgodził się Felipe i podsunął jej talerz...

Łyżka wypuszczona z jakiejś osłabłąj nagle dłoni, upadła i z brzękiem potoczyła się po podłodze /czyjaż była to ręka, czyja?/. Ktoś wyszedł na papierosa, ktoś siedział przy kominku, ktoś tęsknie spoglądał przez oblodzone okno.

Wtem...

...Felipe przestał jeść, oczy miał szeroko, jakoś nienaturalnie rozwarła, chwycił się za gardło, usiłował coś powiedzieć, nabrać powietrza w płuca, odetchnąć... Nie zdołał...

Alexis patrzyła na niego zdziwiona i przerażona, nagle w ostatniej niemal chwili zrozumiała. - Spaghetti - szepnęła zbitełymi wargami... Po kilku sekundach osunęła się w ślad za Felipe na ziemię.

- Jesus... - Andy oparł się o ścianę. Jego twarz przypominała miała maskę cyrkowego kłowna.

C.d.r.

WĄTPLIWOŚĆ

...wieczności to ja będę miał po uszy...
Andrzej Włórkó

Kiedy się dopali czynów moich słowa,
A oddechy zwierząt wchłoną żółte ognie
Wtedy wrócę znowu w wielką nieobecność,
I samego siebie dokładnie zapomnę.

Uwolni mnie wreszcie słów mleko i sadza,
I wolno mnie puszczą rąk złamane tańce,
I będę wtedy bielą i czernią zarazem,
I kolorem tęczy na mydlanej bańce.

Uwolnię się wreszcie od morskich lampartów
Śpiących na lodowcach zakazanych pragnień.
Wyjdzie ze mnie zegar i oczekiwanie

I w noc się pogrążą jak obłoków żagle.

I będę już wtedy naprawdę bezwolny,
I zamieszkać w słońcu i zieleni drzewa
Obojętny wobec tych co pozostali.

Powiedz czy to szczęście? Bo naprawdę nie wiem...

Andrzej Biecz

Aby dość do kresu ekstazy, gdzie zatracamy się w rozkoszy, zawsze musimy wytyczyć jej granicę, jest nią zgroza. Reszta jest ironią, długim oczekiwaniem na śmierć.

Georges Bataille

Obudziłem się przed świtem. Tak było od wielu dni, niemal od początku mojego pobytu tutaj wszystko powtarzało się z sadystyczną dokładnością. Każdej nocy o tej samej porze wyrwał mnie ze snu ten sam piękny obraz - przekłeta, bezlitosna obsesja, od której nie mogłem albo nie chciałem /sam już nie wiem jak było naprawdę/ uwolnić się, i której nie miałem siły dłużej znosić. Każdego wieczora rozszarpały mnie wrogle, równie potężne pragnienia: nienawiść do wspaniałego złudzenia broniła mnie przed snem, który jednocześnie przywoływałem słowami zaklęć i modlitwą. Wydany na pastwę nieczujących żywiołów, wyczerpany ich walką, zapadałem, często na wiele godzin, w półsenne odrętwienie i trwałem w nim niczym niedoszły samobójca na powierzonej wzburzonego morza.

Na jawie czy we śnie zawsze ona, jeden ustawicznie powracający, rozpisany na te same gesty i uczucia, motyw. Ona, ona, ona. Nie tylko ONA. Miłość i pożądanie rzuciły mnie w dławiące objęcia sprzeczności, rozdzierały na pół każdą myśl czy pragnienie. W rzeczywistości realnej kochałem ją beznadziejnie, pożądałem bez szans spełnienia - uwierzyłem, że jest nieosiągalna właściwie bez walki, poddając się zwątpieniu i rozpacz. Wiedziałem jednak, że choć niedostępna i obojętna jest tak blisko i tak zmysłowo obecna; jej postać, głos, zapach, czasami przypadkowy dotyk są prawdziwe. Zdarzało się, że mówiła do mnie, uśmiechała się, patrzyła - po prostu była i za to jej dziękowałem. Wdzięczność rozdzierana przez nienawiść - była lecz nie dla mnie, a to było nie do wytrzymania.

Usłużny sen dawał mi ją bez ograniczeń, we śnie istniała tylko dla mnie, brałem ją tak jak to sobie od dawna wymarzyłem lecz... ona nie była przy tym obecna, nawet o tym nie wiedziała; ona spała. Co noc otrzymywałem namiastkę spełnienia, po czym nieodmiennie następowała udręka przebudzenia zmieniająca ekstatyczne przeżycie najwyższej rozkoszy w stan pełen goryczy i odrazy, nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że jakiś złośliwy demon paradoksu sztydzi ze mnie i perfidnie oszukuje.

W takich chwilach myślałem o ucieczce w niekończący się, czarny i pusty sen.

Obudziłem się przed świtem. Z mroku dolatywały nierówne oddechy tych co zmorzeni brydżem lub śpiewaniem położyli się najpóźniej, z kąta pod oknem dobiegał bezładny szept zmęczonych sębą kochanków, ktoś przez sen kontynuował rozmowę o metafizyce Heideggera, od czasu do czasu rozlegało się tu i ówdzie leniwe skrzyknięcie drewnianych pryczy. Z przyjemnością wsłuchiwałem się w pojedyncze odgłosy - zrazu ostre i wyraziste, szybko rozmazywały się i po czym stłumione wsiąkały w gęstą, gąbczastą ciszę. Na zewnątrz nawet wiatr i ptaki w milczeniu oczekiwały na świt.

Otworzyłem oczy. Przez uchylone okna sączyła się ledwie widzialna szarość. Na rękach i twarzy czułem wolno przesuujące się wąskie pasma porannego chłodu. Odrzuciłem koc i cały zanurzyłem się w ożywczych falach zimnego powietrza. Przez kilkanaście minut rejestrowałem w pełnym skupieniu stopniowe zmiany wewnętrznego napięcia w różnych częściach budzącego się organizmu. Wydawało się, że każda komórka z niecierpliwością i podnieceniem oczekuje na wejście w rytm nowego dnia. Z minuty na minutę skóra stawała się bardziej jędrna, mocno lecz elastycznie opinała coraz bardziej naprężone mięśnie.

Mimo krótkiego snu nie odczuwałem zmęczenia. Podniosłem się bez żalu i z budzącą zadowolenie lekkością zeskoczyłem z pryczy na podłogę. Nie ubierałem się, nie chciałem krępować rozpierającej mnie wolności. Miałem wrażenie, że z dawno zapomnianych, ukrytych w najdalszych rejonach ciała, źródła wypływa coraz większy strumień pierwotnej, nieopano-

wanej energii. W kilka chwil wolne od jakichkolwiek doznań przestrzenie wypeklika trudna do wytłumaczenia gwałtowność - niecierpliwa, gotowa, oczekująca...

Po omacku ale cicho i pewnie dotarłem do schodów, po czym bez pośpiechu, pokonując kolejne szczeble w dużych odstępach czasu, wspiałem się na górę. Przez lekko uchylone drzwi prowadzące do wschodniej części poddasza nie wydostawała się żaden dźwięk, mimo to wiedziałem, że ona tam jest, że śpi w głębi na pryczy pod oknem.

Pod niezbyt silnym naporem ręki drzwi ustąpiły z alarmującym skrzypieniem. Na moment zastygłem próbując wyłowić oznaki wywołanego niespodziewanym hałasem niepokoju - nie słyszałem nic oprócz szalonego bicia własnego serca. Uspokojony spojrzałem w głąb pomieszczenia, przez jedyne, umieszczone w przeciwległej ścianie okno przedostawało się słabe granatowo-różowe światło, które z jakąś niezwykłą mocą wydobywało z ciemności zarys śpiącego ciała. Tych kilka zaledwie, łagodnie układających się na jaśniejszym tle linii, wprawiło mnie w stan hipnotycznego odrętwienia, jednocześnie eksplozja pożądania uwolniła spod kontroli spiętrzone ponad miarę żywioły podświadomości. Zapłonęło niesamowite, jaskrawoniebieskie światło, w który prawie niewidoczny dotąd kształt zmienił się w lubieżnie rozłożone ciało. Obscenicznie dokładne widzenie: ona naplecach jak rozgwiazda, rozwarte uda, jedna noga w górze, palcami lewej dłoni rozchyła wargi różowej, wilgotnej szpary, drugą ręką przywołuje mnie, głowa nienaturalnie wykręcona w bok, twarz zniekształcona przez rozkosz, dyszące szeroko otwarte usta, powiększone, wyrócone oczy, rozszerzone nozdrza. Urzeczony wizją straciłem zupełnie panowanie nad sobą. Przystąpiłem próg. Skrzypiące zawrozczenie podłogi błyskawicznie przywróciło mi poczucie rzeczywistości - światło zgasło, seans skończył się. Po przerażonym i rozpalonym ciele spływały wolno dreszcze łęku i ekstazy. Nie chciałem, nie mogłem już się zatrzymać leżąc teraz stawiałem stopy z precyzją i rozważą linoskoczka. Poczucie nieokreślonego zagrożenia napinało nerwy do granic możliwości. Uderzenia serca stawały się z każdym krokiem tak potężne, iż przez chwilę czułem irracjonalną obawę, że to one, a nie trzeszcząca podłoga, mogą mnie zdradzić. W miarę zbliżania się do celu zaczęły się udreki ciała, nienaturalnie sztywne mięśnie stawały coraz silniejszy opór, sterczący, nabrzmiały członek sprawiał ból.

Niemal w ostatniej chwili panowania nad sobą, poczułem na udach kojący chłód drewnianej pryczy. Wyczerpany pragnąłem ponad wszystko kółku minut uspokojenia i odprężenia. Zamknąłem oczy, odpływałem w błogą nieobecność. Miałem ochotę trwać tak bez żadnego sensu, na uboju czy przemijania. Jednak inne, o wiele potężniejsze pragnienie brutalnie wyrывało mnie z letargu.

Gdy otworzyłem oczy, niebiesko-różowy, bogatszy o złoty odcień - pierwszy zwiastun przybywającego z daleka słońca, blask rozlewał się zdecydowanie na powierzchni pryczy, na której leżało zupełnie nagle i odkryte ciało śpiącej dziewczyny. Głowę miała przy oknie, nogi podciągnięte prawie do samej brody, pośladki na krawędzi pryczy tuż przy moich udach. Ze splecionymi przy twarzy rękami przypominała dziecko, emanowała z niej ufność i poczucie całkowitego bezpieczeństwa. Czarne, długie, ekscytującą zmięzwione włosy nieregularnie okalały piękną twarz, której uroda zawsze przywodziła mi na myśl postać potencjalnego twórcy - artystę ponad ludzką miarę utalentowanego, a zarazem czulego kochanka. Lekki uśmiech na jej ustach zdradzał pogodną i ciekawą treść snu.

Im dłużej przypatrywałem się tej tak przecież dobrze znanej twarzy tym silniejsze odnosiłem wrażenie, że dokonała się na niej jakaś trudna do uchwycenia zmiana albo przemiana. Stałem bezradny wobec niewytłumaczalnego odczucia - na pozór nic się właściwie nie zmieniło, nie pojawił się żaden nowy szczegół, nic nie kamało idealnych proporcji. Chaos porwanych myśli. Coś jednak powstrzymywało mnie przed zlekceważeniem narzucającego się z taką uporczywością, spostrzeżenie. Twarz tyle razy oglądana, tysiące razy odmieniana w wyobraźni i snach, zawsze inna choć przecież ta sama, ciągle przy mnie albo we mnie obecna. Fascynujący, trudny do odtworzenia rysunek - perfekcyjnie, z niezwykłą lekkością poprowadzone linie - bez przerwy prowokował do namiętnej kontemplacji i wyszukanych porównań. Odkrywanie nowych wcielen przypo-

minało tworzenie coraz to innych wariacji napiekny temat i było niewyczerpanym źródłem głębokich doznań estetycznych, nigdy nie powodowały tak dotkliwej dezorientacji. wydawało mi się, że odgaduję sens zawartej w tej twarzy tajemnicy: teraz okazało się, że to tylko naiwne złudzenia.

Nagle zacząłem pojmować. Piękne rysy pozbawione były charakterystycznej dla nich ostrości, brakowało im budzącej respekt stanowczości, znikła, zdawało się naturalna i konieczna, pełna napięcia harmonia poszczególnych fragmentów. Rozumiałem ile znaczący dla niej godziny snu: we śnie nie musiała kontrolować swej urody, nie była za nią odpowiedzialna - we śnie mogła być piękną bez żadnego wysiłku. Uciekała w ciemność aby uwolnić się od budzącego tyle pragnień i zazdrości ciężaru. Pozostawione po tej stronie istnienia ciało wydawało się bardziej naturalne, prawdziwsze, rozluźnione, ufne, jakby przystępniejsze było tym bardziej pociągające.

Nie zrobiłem jednak żadnego ruchu, nie powstrzymywała mnie obawa przed kompromitacją, ośmieszeniem, nienawiścią czy pogardą - posunąłem się wystarczająco daleko aby na to wszystko zasłużyć - ale myśl, że mogę zniszczyć jej sen, odebrać tak przecież rzadkie chwile upragnionej wolności. Nie miałem prawa wdierać się w strefę, w której toczyło się jej prawdziwe i szczęśliwe życie.

Jednak myśli straciły władzę nad ciałem, nie mogły już zatrzymać dłoni, gdy wolno lecz uparcie przesuwawała się w jej stronę, najpierw nad małą kunsztowną stopę, potem wzdłuż rzadko owłosionej łydki, ponad ostrym profilem kolana wypłynęła nad subtelnie pośladowaną powierzchnię uda, po wielokroć badała obfite wypukłości poślodka i bardzo wyraźny grzbiet biodra. Przerażony i bezsilny patrzyłem na drżącą jeszcze dłoń jak miękko układa się na rozgrzanej, opalizującej skórze brzucha. Pod naciskiem mojej ręki mięśnie brzucha gwałtownie zafalowały i wzdłuż jej całego ciała przebiegł pojedynczy skuroz. Po chwili niewielki, prawie przyjemny wstrząs niły echo tamtego rozpyłzył się w moich wnętrznościach. Teraz pewna siebie, ciągle nienasycona dłoń zatoczyła szeroki, sięgający małych, doskonale wytoczonych piersi, łuk, po czym wspięła się na zaokrągloną przekęcz tali, a z niej na wysoką grań biodra, na którym wyraźnie odznaczał się jasny pas mniej opalonej skóry. Zaczynała się ostatnia, rozstrzygająca faza wyprawy. W jednej chwili opuściły mnie wszelkie wątpliwości, poniżony i odepchnięty umysł poddał się woli wypływających z niedostępnych mu poziomów pragnień. Przystałem się zastanawiać - patrzyłem i zapamiętywałem pogodzony z ciałem i zmysłami.

Spokojna dłoń płynnie zsunęła się po obfitym poślodku w stronę świetnie wyprofilowanego owalu szczeliny między udami i, nie zatrzymując się ani na chwilę, wsunęła się w nią płasko. Maksymalnie odgięty do tyłu kciuk zakotwiczył się głęboko między pośladkami, czubki palców znalazły się w gęstym, jedwabistym runie łona. Podczas przesuwania palcem wskazującym rozchyliłem zewnętrzne płatki pochwy, wewnętrzną krawędź dłoni zanurzyłem w wilgotnym cieple przedsionka.

Niespodziewanie jej uda niczym imadło zasisnęły się wokół mojej ręki. Przekonany, że za moment obudzi się chciałem uciekać, mając nadzieję, że osłoni mnie panujący jeszcze półmrok. Na próżno jednak próbowałem zmusić się do jakiegoś ruchu, moje własne ciało stawiało mi opór nie do pokonania. Zrozpaczony widziałem jak jej ręka wysuwa się spod głowy i wolno, jakby z namysłem zmierza w penetrowaną przeze mnie okolicę. Uwięziony we własnym cieple czekałem na katastrofę. Ku memu zdumieniu jej ręka zatrzymała się w połowie drogi i po krótkim wahaniu powróciła na poprzednie miejsce. Usłyszałem głębokie, przeciągłe westchnienie. Uda rozluźniły uścisk.

Aby mogła w pełni oswoić się z moją obecnością odczekałem trochę w bezruchu, następnie wprawilem dłoń w rytmiczne posuwiste ruchy wzdłuż szpary. Poczulem ostry, trudny do opisania zapach podniecone kobiecie - odurzającą mieszaninę drogich perfum i wydobywającej się z pochwy woni. W pamięci przechowywałem kilkanaście zapachów znajomych kobiet, każdy był niepowtarzalny jak linie papilarne. Z pomocą węchu mógłbym rozpoznać i opisać znaną mi kobietę z dokładnością, jakiej nie zapewniał żaden z pozostałych zmysłów. Nie wszystkie zapachy były w równym

stopniu powalnego, niektóre wręcz odpychały. Ten kojarzył się z czymś ważnym i przyjemnym. Szukałem w płatoninie obrazów i nastrojów: zielona ~~zaka...~~ nie, raczej las... tak, sosnowy las... o zmierzchu, cudowny aromat sosnowego lasu o zmierzchu, gdy ciepła ziemia i pierwszy letni deszcz odurzają piękną intensywną świeżością.

Z każdą chwilą ruchy mojej ręki stawały się bardziej natarczywe, porzucając wszelką ostrożność zagłębiałem się w zupełnie mokrą, gorącą pochwę. Wreszcie stało się to na co czekałem - prawa noga najpierw poruszyła się nieznacznie i z ociąganiem uniosła się na tyle, że mogłem wykonywać bogaty repertuar przeszcot.

Oddychała coraz szybciej i głośniejsze.

Nagle rozwarła się szeroko, nie wiedząc o tym z całą przychylnością otworzyła się, z wnętrza jej ciała dochodziła niewymowna zachęta, aprobata, przyzwolenie. Z czułością i błaganiem spojrziałem na penis. Dumnie wyprostowany, błyszczący od dawna stał w pogotowiu. Teraz wszystkom zależało od niego, on miał o wszystkim zdecydować. Najpierw kilka razy przesunąłem o niego palce, potem trzymając go w lewej dłoni pozwalałem aby samym czubkiem zakosztował owoc, który miał konsumować. Gdy w pewnej chwili znalazł się między rozpalonymi, obficie zroszonymi wargami pochwy, nie wytrzymałem - gwałtownym pchnięciem wbiłem go do połowy. Zatrzymała mnie krawędź pryczy, miałem tylko kilka centymetrów swobody.

Z początku ruszałem się miękko i powoli, starannie odmierzając każde posunięcie. Szybko znalazłem wspólny rytm naszych oddechów. Opuszkami palców pieściłem cały czas, mocno pulsującą, znacznie powiększoną kęchtaczkę.

Kochała mnie nie wiedząc o mojej obecności, brała mnie z ochotą, oddawała się z namiętną uległością, posłuszna pierwotnej woli wprawiała swoje ciało w taneczne wirowanie wokół mojego członka: zwierzała i rozwierzała uda, nieznacznie przesuwając i oddalając się, wewnątrz pochwy falowało. Odwdzięczałem się jej najbogatszymi kombinacjami pchnięć, przesuwania, pocierań, dotknięć, od czasu do czasu zastygłem w bezruchu albo wychodziłem z niej, po czym łapczywie z powrotem wślizgiwałem się.

Stopniowo zawiadnęła nami powszechna mechanika ciał, następowało najgłębsze porozumienie za pomocą prastarego języka - dotyku. Przez gęstniejącą watę ciszy dochodziły mnie coraz mniej wyraźne pojękiwania, chwilę później nie słyszałem już nic, tylko wzmagający się szum wodospadu krwi.

Zamknąłem oczy. Zaczynał się przypływ.

Przestrzeń wokół mnie wypełniła się przenikającą każdą drobinę ciała, czystą, pulsującą błogością. Z radosną zachłannością osuwałem się w głąb czarnej rozpadliny... wypłynąłem na zupełnie spokojne morze bezgranicznej teraźniejszości... przeszłość i przyszłość tonęły w niebieskawej mgłę uniesienia.

Czas rozdarty monstrualną rozkoszą...

Czas zmiażdżony przez chwilę życia.

Płynąłem wewnątrz siebie... spadałem w nią... wciągała mnie w siebie... wypełniałem ją po brzegi... wypełniała mnie sobą... bezkształtna jedność... nie ma żadnego przedziału... ani w nas... ani między nami... bezpostaciowe zespolenie w ogniu...

Bliskość ekstazy pustki... krawędź otchłami... pragnienie spadania... obietnica uniesienia lekkości... lot ku nicości..., która jest kłębowiskiem śmiertelnych przyjemności... igranie ze śmiercią na szczycie ekstazy... jestem w tobie... jesteś we mnie... nie można być bliżej siebie... wbrać trzewi... skowyt krwi... eksplozja... naprężona jasność... ..
nagła samotność w orgazmie, bezmiar spustoszenia.
Momentalnie wyrzucony na powierzchnię rzeczywistości zdążyłem wyskoczyć; dłonią zatamowałem niezwykle silny i obfity wytrysk. Jej ciało przeszywały konwulsyjne wstrząsy. Nagle wgięła się w pasie, błyskawicznie zwarła i przeciągła, spazmatycznie zajęczała.

Podłoga zaczęła uciekać spod moich stóp, zrobiło się ciemno i duszno, zamroczony i otepłały wbiłem w siebie lekko, to znów ciężki i bezwładny spadałem w wilgotny, puszysty przestwór. Lepka cisza zatykała uszy. Kości były tak miękkie, jakby wyszła z nich cały szpik - z trudem broniłem się przed upadkiem. Na czarnym tle unosiły się białe,

narkotyczne opary. Wreszcie rozplynąłem się w pustej, kojącej przestrzeni. Marzyłem aby na zawsze w niej pozostać.

Powracałem długo i niechętnie. Kiedy otworzyłem oczy pierwszy złoty-zielony promień słońca przebił się przez wilgotną gęstwinę liści za oknem - było zupełnie jasno. Spojrzałem na jej twarz, na ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Czyżby cały czas śniła ten sam pogodny sen? Ostrożnie wycofałem się do drzwi. Jeszcze raz na nią popatrzyłem: leżała już na brzuchu pod niedbale narzuconym na siebie kocem. Cicho zamknąłem za sobą drzwi i zszedłem na dół.

Andrzej Włórkó

PS. Sen odsłania rzeczywistość
Kafka

Sen jest swym własnym wytłumaczeniem
Talmud

Jeśli się śni komuś, iż jest nagł., marzenie senne może wyrażać jego pragnienie aby być sobą, zaprzestać udawania, a jego zakłopotanie we śnie może odzwierciedlać obawę, iż spotka się z dezaprobatą innych, o ile ośmielił się być sobą.

Fromm

A. W.

WIERSZ O MIŁOŚCI

Nie kochaj tak, jakbyś mówiła: "masz"...!
Z takiej miłości serce boli!
Tak można sączyć ciepłe piwo,
A nie ubóstwiać gros idola.
A kiedy walnąć pięścią w stół,
Znowu ta czułość co zabiła,
I tak się jakoś miesza jak pościel.
I myślisz pewnie: "Kachudra! Pijak!"

A przecież kocham cię po snach,
Które mnie diabeł wie gdzie zwodzą...
A ty wciąż bierna jak roślina,
I obojętna jak śmierć wodza.
Innej powiedziałbym: "Idź precz!!!
Bo skuję mordę! Bo zatłukę!!!"
Na inną donos bym napisał...
Albo wyfzuciłbym jak sukę!

Lecz ty jedna możesz pojąć,
Z R O Z U M I E Ć słowa mego łaskę...
/Bo jeśli ty mnie nie zrozumiesz,
T o kto mi w końcu będzie klaskał?/
Kto będzie czuł najcięższy nerw
Wyrwany z ciała tautologii?...
Kto będzie cieszył się z mych smutków
I grzebał się w eschatologii??

Ja wiem, że długo tak nie można
Pijanych statków szukać szlaków
Do: gniew rodziny, ból przyjaciół,
Bo dobre imię... kluski z makiem.
Przecież kiedyś się uspokoję,
Ogolę równo i ożenię,
I będę schlebiał płaskim gustom
I zacznę wierzyć w przeznaczenie.

Ale na razie póki drżysz
Daj mi się porwać w taką stronę,
Gdzie czeka mnie mój syn - mój czas!
Stęskniony pilnie za ogromem.

I zacznij wreszcie kochać ślepo
Bez tej skwapliwej ostrożności:
Kochaj mnie tak, jak ptak powietrze
Moja współczesna publiczności.

Andrzej Biecz

RZEKA

Wczesnym popołudniem zeszliśmy nad rzekę. Poskuszeni jakimś nakazem wi poskuszenie zanurzyliśmy się w pejzaż rozświetlony i rozgrzany skońcem dojrzałego lata. Szum rzeki otulony monumentalną ciszą skał, lasów i traw zachęcał do milczenia. Usiadłem na dużym kamieniu i bez pośpiechu, w bezmyślnym skupieniu zacząłem rozbijać zerwane po drodze orzechy. Dopiero po kilku minutach przypomniałem sobie o jej istnieniu. Gdy podniosłem głowę, była już w wodzie, kilkanaście metrów od brzegu. Zręcznie omijając wystające głazy i ukryte pod wodą małe, ostre kamienie, posuwała się wolno ale pewnie. Na jej twarzy nie widać było napięcia uwagi, żadnego właściwie wysiłku, raczej ulgę po długim męczącym oczekiwaniu. Zrzuciła nie wiadomo kiedy sukienkę zostawiła na brzegu. Białe majtki, kształtem świetnie dopasowane do mocnych ale delikatnie rzeźbionych bioder, efektownie kontrastujące z opaloną skórą pleców i szaroniebieską barwą wody, znakomicie oddawały sprężystość i elegancję poruszającego się ciała.

Z początku od czasu do czasu wychodziła na wystające z rzeki kamienie. Potem robiła to coraz rzadziej i wydawało się, że nie jest to skutek zwykłego przyzwyczajenia do niskiej temperatury wody lecz powrót do czegoś dawno zapomnianego, podwójne odkrywanie jakiegoś niezwykłego stanu czy przeżycia.

Nie wiedząc po co, zapytałem dokąd idzie. Nawet się nie obejrzała, prawdopodobnie już mnie nie słyszała choć ciałem wystarczająco bliska, myślami była poza zasięgiem mojego głosu. Wiedziałem, że zupełnie odwróciła się od brzegu, razem z sukienką zrzuciła wszystkie niepotrzebne sprawy, zapomniawszy także o moim istnieniu. Oczarowany powstającym na moich oczach obrazem nie odczułem smutku ani żalu.

Kiedy wyszła na przeciwny brzeg rzeki - szeroki pas kamieni i głazów, oddzielający nurt od soczystej zieleni zarośli - zrodziła się we mnie trudna do wytłumaczenia pewność dalszego ciągu. Nie zatrzymawszy się ani na sekundę, z nie skrywanym podnieceniem i niecierpliwością zgrabnymi ruchami zdjęła z siebie majtki i zakrywającą piersi, żółtą chustkę, po czym odrzuciła je niedbale na bok, ponownie weszła do wody.

Od tej chwili nie czułem w sobie nic oprócz zachwyty i wdzięczności. Z radością pogrążyłem się w namętnej kontemplacji jej nagiego ciała. Jasnobrazowe miało kunsztownie proporcjonalne kształty, których rysunek nasycony był klasycznym wdziękiem. Nagie ciało, w równym stopniu wolne od obsceniczności co od wzniosłości, swą wytworną naturalnością dopełniało otaczający je krajobraz. Pierwotny, nieruchomy pejzaż obdarowywała pięknem tak samo pierwotnym i wydawało się, że góra za rzeką, lasy i łąki na zboczach, najbliższe zarośla i głazy połączone asymetrycznie z ochotą współtworzą dla niej bogate niezwykle tło.

Stojąc tuż przy brzegu nabierała garściami wodę i metodycznie polewała nią kolejne fragmenty swojego ciała. Jej twarz wykrzywił grymas niezadowolonia, niemal obrzydzenia, ręce poruszały się z dziką gwałtownością. Nie wystarczyło jej, że była naga, najwyraźniej zdzierała z siebie tę zbyt subtelną, ulotną nagość splamioną dotykiem obcych dłoni, zapachem krwi, potu i spermy. Pragnęła obnażyć się aż do pierwszej, czystej nagości.

Rozluźniona, uśmiechnięta zaczęła wchodzić w coraz głębszą wodę. Przez jakiś czas przyglądała się uważnie znajdującym się w pobliżu, wystającym z wody głazom. Przypominała teraz spragnioną miłości kochankę starannie wybierającą miejsce, gdzie bez ograniczeń mogłaby całą sobą dawać i brać rozkosz. Znalazła kamień niezbyt głęboko zanurzony, na tyle rozległy i płaski, że mogła się na nim położyć nie tylko bezpiecznie ale i wygodnie. Najpierw usiadła na nim przodem do napływającej wody, następnie wyciągnęła się na plecach. Wartki prąd zawirował wokół leżącego ciała. Spieniona rzeka przez wiele minut nie ustawała w tworzeniu najbardziej wyrafinowanych i niepowtarzalnych pieszczot, ocierała się i napierała, z najwrażliwszych zakamarków wydobywała szerokie gamy ekstatycznych doznań.

Z głową bezwładnie ułożoną na falach, z rozrzuconymi na boki rękami, szeroko rozwartymi nogami, oddawała się rzece.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo to trwało. Przypuszczam, że

wszystko rozegrało się bez udziału czasu, w swej tajemniczej, pozbawionej granic rozpadlinie, między tym co już nie, a tym co jeszcze nie, w miejscu odwiedzanym jedynie przez poetów.

Wróciła tą samą drogą. Stała przede mną ubrana, z uśmiechem osoby jeszcze nieobecnej. Spuściłem głowę i bez pośpiechu zacząłem rozbijać zerwane wcześniej orzechy.

Siedzę na kamieniu obcy rzece
wówczas i dzisiaj tak samo przejęty
świadek waszego spotkania

Andrzej Wiórko

TRZECIA PIOSENKA BIESZCZADZKA

Jaki to był maj

Pod listkiem leszczyny zielonym
ledwo poczęły się jej piersi.

Las cały w biel uprany
był jak święty

Nie śmiał jej dotykać
dopiero buków wiosenna muzyka

Powiedziała za nich tak
powiedziała za nich naj
i kocham

Pod nogami kwitły słowa

Rozpuszczonych na ramiona włosów
szumiał czarny gaj

Był kiedyś maj

Jerzy Harasymowicz
